

Różnij Walenty

AUTOR: JAROSŁAW ZALESIŃSKI

Adam Orzechowski od pierwszej sceny *Iwony, księżniczki Burgunda* przypomina, że międzyludzką formę ustanowić można niezwykle łatwo, na pstryknięcie palcem. Gry z formą są jednak arcyniebezpieczne – od zabawy do opresji dzieli nas jeden krok.

■ Jak łatwo można stać się tu królem. W foyer, gdzie rozpoczyna się przedstawienie, papierowe korony (jak z urodzinowych przyjęć w Kids Play) rozrzucono w takiej liczbie, że każdy, kto tylko ma na taką autokoronację ochotę, może sobie papierową koronę wsunąć na głowę i... gotowe, jest królem/królową. „Arystokracja nie posiada żadnych cech szczególnych, które by ją od gminu odróżniały, oprócz jednej, ale za to decydującej, że jest arystokracją” – uświadamia nas Król Ignacy (Grzegorz Gzyl) tekstem przez reżysera Adama Orzechowskiego przeklejonym z *Operetki* po to, by od pierwszej sceny powiedzieć nam, że międzyludzką formę ustanowić można tu niezwykle łatwo, na pstryknięcie palcem. Tak naprawdę – jak jeszcze zobaczymy – ustanawia się ona sama. Ale gdy już się zatrzęsnie... Król, tylko dlatego, że jest królem, może na przykład bez chwili wahania skazać kogoś na śmierć. Przenosząc ten dialog ze środka tekstu na jego początek, reżyser od razu podsuwa nam drugą ważną myśl: gry z formą są arcyniebezpieczne – od zabawy do opresji dzieli nas jeden krok.

Na razie jednak jest łatwo, zabawnie, w foyer rozkręca się szalona impreza jak w nocnym klubie na Ibizie. Zespół muzyków – świetny (instrumenty dęte i perkusja), do tego wrażliwy na każdy niuans scenicznej akcji – różnie od ucha do ucha, Księżę (Robert Ciszewski) w półprzezroczystym, odsłaniającym plecy kostiumie tańczy przed widzami jak chippendale, Iza (Agata Woźnicka) porywa jednego z widzów do tańca, aktorzy mieszają się z publicznością, trwa zabawa. Jedynie Szambelan (Robert Ninkiewicz) dba o dworską formę. Ninkiewicz jest w tej roli w swoim żywiole: czujny, z wysuniętą do przodu i uniesioną

brodą, ze srogim spojrzeniem, strofuje, ustawia, nadzoruje. Gdy Król ma fanaberię, by wszyscy przyklękali, Szambelan ostro nakazuje to publiczności. Co robić, przyklękamy, ja również, bo to przecież tylko teatr, zabawa, choć w tym przykłąku diablo mi niewygodnie, bo niby czemu i przed czym mam tu klęczeć. Ale klęczę (na jednym kolanie), na szczęście nie za długo, muzycy znów rzną i w zabawowym pochodzie przechodzimy z foyer do sali Starej Apteki, tam siadamy każdy w swoim numerowanym fotelu. Uff...

Powrót do podziału na aktorów i widzów nie trwa jednak długo. Księżę i jego świta (Grzegorz Otrębski i Piotr Chys) coraz natrętniej kierują ze sceny swoje zaczepki nie do Iwony, bo ta się nie pojawia, tylko do jednej z widzek. Impertynencje stają się coraz grubsze, sytuacja coraz bardziej niezręczna, w końcu odwracam się w stronę tak nagabywanej nie-szczęśnicy. I odkrywam, że to... Magdalena Gorzelańczyk, ano tak, w roli Iwony, wszystko jasne. A obok niej siedzi Jakub Nosiadek, który za chwilę zacznie mówić kwestiami Inocentego.

Może dlatego, że dałem się reżyserowi podejść, a może i wtedy, gdybym zrozumiał od razu, że „widzem” jest aktorka, efekt byłby ten sam, w każdym razie: dziwnie utożsamilem się z Iwoną. Gdy obraża się kogoś obok nas, łatwo nam poczuć, że i nas to obraża. Zapewne ten właśnie mechanizm zadziałał; przyniósł on – przynajmniej w moim przypadku, nie wiem, jak to było z resztą widzów – osobliwy efekt. Wszystkie kwestie Iwony, jej dialogi milczeniem czy dialogi zdawkowymi odpowiedziami, jak gdyby przechodziły przeze mnie. Orzechowski nie zbudował swej inscenizacji na wykreowaniu postaci Iwony, którą

uzdolniona aktorka, a do takich należy Magdalena Gorzelańczyk, mogłaby rozpisać na szereg znakomicie odegranych mikroscenek złożonych z milczeń czy z pojedynczych odezwań. Ten atut tekstu Gombrowicza pozostaje świadomie niewykorzystany. Iwona to nie „cimcirymci” – „płaksa i masło maślane”, osoba we wszystkim „niezdarzona”. Komuś takiemu moglibyśmy współczuć, ale z kimś takim nikt się nie zidentyfikuje. W gdańskim przedstawieniu Iwona jest jak gdyby „każdym”, i to radykalnie zmienia odbiór tej postaci. Jak długo zajmuje miejsce między nami, tak długo ustawia się w opozycji do scenicznego świata. Scena pławi się w formach, pompatycznych i idiotycznych: z tyłu zwieszają się istic monarsze purpurowe kotary z ciężkimi sznurami i ozdobami (scenografią Magdaleny Gajewskiej), z boku przygrywa zespół (pełna inwencja muzyka Marcina Nenki), który reżyser każe utożsamiać z lokajem Walentym, a na szczupłym, wąskim, pozostawionym do grania kawałku sceny Katarzyna Kaźmierczak jako Królowa Małgorzata stylowo podaje arystokratyczne „ę” i „ą”. Grzegorz Gzyl jako Król Ignacy świetnie oddaje rytm Gombrowiczowskich dialogów, swobodnie „mówi Gombrowiczem”, zaś młodzi aktorzy z wigorem wcielają się w kolejne role, wyznaczone im przez Księcia, któremu uroiło się, że może stać się reżyserem form, że jest w stanie zapanować nad biegiem wydarzeń. Scena pławi się więc w formach, natomiast milczenia i dialogi Magdaleny Gorzelańczyk na tym tle wypadają prosto, zwyczajnie, naturalnie, jak mówione „od nas”, nawet gdy aktorka, po kolejnych impertynencjach, protestuje krzykiem.

Podziału na świat form i świat nieuformowany nie można było jednak utrzymywać bez

Iwona Magdaleny Gorzelańczyk jest nie tyle „każdym z nas”, ile „w każdym z nas”, „tym czymś” w nas niewykrzywionym jeszcze przez gry międzyludzkich form. Wywołana na scenę, może w tej „nieforemnej” postaci trwać tylko przez motylą chwilę.

końca. Przychodzi moment, gdy Iwona zostaje ni to zaproszona, ni to wciągnięta na scenę przez Izę, konsekwentnie graną przez Agatę Woźnicką jako postać odmienną, która w tym świecie nie utraciła jeszcze wrażliwości na drugiego człowieka. Tak właśnie, niezwykle delikatnie, wręcz czule, biorąc Iwonę za rękę, zaprasza ją na scenę do wspólnego spokojnego tańca. Walenty już nie różnie od ucha do ucha, aktorzy zastygają, taniec trwa jako cicha, dyskretna kulminacja przedstawienia. Iwona jest tak inna od innych... W prostej białej sukience bez błyskotek i przezroczystości, ze zwykłego materiału (z daleka przypominał banalną kremplinę), wygląda niczym *animula*. Iwona według Orzechowskiego jest nie tyle może „każdym z nas”, ile „w każdym z nas”, „tym czymś” w nas niewykrzywionym jeszcze przez gry międzyludzkich form. Wywołana na scenę, może w tej „nieforemnej” postaci trwać tylko przez motylą chwilę, po której spektakl

ma swoją drugą, już nie cichą i dyskretną, tylko dramatyczną kulminację. Nie, nie o serwowanie karasków chodzi: by zabić „to coś” w nas, nie potrzeba aż tak wyrafinowanych form. Gorzelańczyk wpada w konwulsyjny taniec, szarpie się w niewidocznej sieci, rzuca na ścianę z królewskimi purpurowymi kotarami i sznurami, udaje się jej je zedrzeć, zrzucić na scenę, coś stąd, skoro jedynie odsłoniła ukryty za kotarami wysoki ceglany mur, ścianę Starej Apteki. Nie ma ucieczki ze świata form...

Po rytualnym mordzie na Iwonie można wrócić do zabawy. Zapalają się światła, Walenty znów różnie muzykę, a Szambelan po swemu nakazuje wszystkim zdyscyplinowany przemarsz z powrotem do foyer. Coś we mnie po raz pierwszy zaprotestowało. Iwona leży martwa na scenie, a my mamy jak gdyby nigdy nic wracać do głupawej zabawy? Cóż, podniosłem się jednak z fotela jak wszyscy i procesualnie idę. W foyer na nowo rozkręca się im-

preza, w pewnym momencie Szambelan znów każe uklęknąć. Klękają wszyscy, z wyjątkiem Księcia, któremu chyba znów chodzi po głowie rola reżysera form. „Prędszej” – rzuca groźnie w jego stronę Król. „Nie możesz sam jeden stać, kiedy wszyscy klęczymy”.

Długa chwila wahania Księcia to trzecia kulminacja tego przedstawienia. Poddać się formie? Znów próbować nad nią zapanować? Księżę wolno obraca się w stronę królewskiego podium, zastanawia się, namyśla, kalkuluje, w końcu niechętnie osuwa na kolana. Koniec przedstawienia.

Pora się pochwalić, że – mądrzejszy o ten mądry spektakl – postanowiłem tym razem nie przykleknąć. Hasło „Różnij Walenty” prześtało mnie bawić, zaczęło w moich uszach brzmieć dwuznacznie. Można „różnić” muzykę dla zabawy, ale można i „różnić” dla okaleczania, krzywdzenia. O tej właśnie dwuznaczności mówi chyba ta inscenizacja. Od zabawy międzyludzką formą do opresji jest jeden krok, robimy go we wspólnym życiu stale, granica bywa bardzo cienka, nieuchwytna. Nie przykleknąłem więc, ale tak stojąc, na wszelki wypadek ustawiłem się za plecami dźwiękowca za konsolą, tak by nie było mnie widać. Bo rzeczywiście z jakichś tajemniczych powodów głupio jest stać, kiedy wszyscy klęczą. ■

TEATR WYBRZEŻE
W GDAŃSKU

*Iwona, księżniczka
Burgunda*
Witolda Gombrowicza

reżyseria
Adam Orzechowski
scenografia, kostiumy,
reżyseria światła
Magdalena Gajewska
muzyka
Marcin Nenko
ruch sceniczny
Maćko Prusak

premiera
10 maja 2024

Magdalena
Gorzelańczyk (Iwona)



fol. Natalia Kabanow / Teatr Wybrzeże